



MARY E. PEARSON

FAŁSZYWY
POCAŁUNEK



KRONIKI OCALAŁYCH, TOM I

Text © 2014 by Mary E. Pearson

Tytuł oryginału: THE REMNANT CHRONICLES 1:

THE KISS OF DECEPTION

First edition published by Henry Holt LLC, New York.

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO INITIUM

Tłumaczenie z języka angielskiego: EMILIA SKOWROŃSKA

Redakcja i korekta: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: NATALIA MUSIAŁ

Projekt okładki: MARIUSZ KULA

Skład i łamanie: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: BARBARA JARZĄB

Fotografia użyte na okładce © Andrey Kiselev

www.123rf.com

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-54-5



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

Druk i oprawa: DRUKARNIA README, www.readme.pl



MARY E. PEARSON

FAŁSZYWY
POCAŁUNEK



KRONIKI OCALAŁYCH, TOM I

Tłumaczenie z języka angielskiego

Emilia Skowrońska



initium
wydawnictwo

KRAKÓW 2017



koniec podróży. Obietnica. Nadzieja.

Opowiedz mi raz jeszcze, Amo. O świetle.

Przeszukuję moje wspomnienia. Marzenie. Historia. Rozmyte wspomnienie.

Byłam mniejsza niż ty, moje dziecko.

Zaciera się granica między prawdą a wyobraźnią. Potrzeba. Nadzieja. Moja babka opowiadająca mi historie, które były jedynym, co mogła mi dać. Patrzę na to dziecko, chude jak szczapa, które nie odważyłoby się nawet śnić o pełnym żołądku. Pełne nadziei. Oczekujące. Obejmuję jej chude ramiona, sadzam ją sobie na kolanach.

Dawno, dawno temu, moje dziecko, była sobie księżniczką, nie większa od ciebie. Świat leżał u jej stóp. Dowodziła, a światło jej słuchało. Pod wpływem jej dotyku kłękały i wstawały Słońce, księżyc i gwiazdy. Dawno, dawno temu...

Chuda istotka zniknęła. Teraz trzymam w ramionach dziecko o złotych oczach. Tylko to się liczy. I koniec podróży. Obietnica. Nadzieja.

Chodź, moje dziecko, musimy już iść.

Zanim nadejdą ścierwojady.

To, co trwa. To, co zostanie. To, o czym nie śmiem jej opowiadać.

Więcej opowiem ci po drodze. O tym, co było wcześniej.

Dawno, dawno temu...



Rozdział 1

W końcu nadszedł dzień, w którym miało umrzeć tysiąc marzeń i narodzić się miał jeden sen.

Wiatr wiedział. Był pierwszy dzień czerwca, ale na szczycie cytadeli czuć było jego zimne porywy niczym w najmroźniejszej zimie. Potrząsały szybami okien i szalały po korytarzach pełnych przeciągów, wypowiadając ostrzegawcze szepty. Od tego, co miało nadejść, nie było ucieczki.

Godziny mijały – na dobre i na złe. Zamknęłam oczy na tę myśl, ze świadomością, że wkrótce dzień rozpadnie się na dwie części – na życie przed i po, wystarczył jeden krótki akt, którego nie mogłam zmienić, tak jak nie miałam wpływu na kolor mych oczu.

Odsunęłam się od okna, zamglonego od mojego oddechu, i pozostawiłam niekończące się wzgórza Morighan ich własnym zmartwieniom. Nadszedł czas na spotkanie z dniem.

Liturgie były prowadzone zgodnie z ustalonym porządkiem, odbywały się również rytuały i obrządkie, a wszystko to było świadectwem wspaniałości Morrighan i Ocalałych, z których się zrodziłam. Nie protestowałam. W owym czasie było mi już wszystko jedno, ale w południe, gdy miałam przejść ostatnie ceremonie, poprzedzające oddzielenie „tutaj” od „tam”, moje serce znów zaczęło walić jak oszalałe.

Leżałam naga, twarzą w dół, na twardym jak kamień stole, skupiając się na podłodze pode mną, podczas gdy obce osoby wydrapywały na moich plecach wzory tępymi nożami. Pozostawałam w bezruchu i zachowywałam spokój, ze świadomością, że noże, skrobiące po mojej skórze, są trzymane w bardzo ostrożnych dłoniach. Drapiący doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że ich życie zależy od ich umiejętności. Idealny spokój pomagał mi ukryć upokorzenie, które przeżywałam, gdy obce dłonie dotykały mojego nagiego ciała.

Pauline siedziała obok i obserwowała tę scenę, prawdopodobnie z wyrazem zmartwienia na twarzy. Nie widziałam jej, mogłam dostrzec jedynie kamienną posadzkę pode mną, długie czarne włosy opadały po bokach mojej głowy, blokując mi widok i kontakt ze światem – słyszałam tylko rytmiczne skrobanie nożami.

Ostatni z nich zjechał niżej i zaczął drapać miękką skórę w zagłębieniu na plecach, tuż nad pośladkami. Nagle zapragnęłam stamtąd uciec. Drgnęłam. Wszyscy obecni w komnacie westchnęli jak jeden mąż.

– Leż spokojnie! – upomniała mnie ciotka Cloris.

Poczułam na głowie dłoń matki, delikatnie głaszczącą moje włosy.

– Jeszcze tylko kilka kresiek, Arabello. I będzie koniec.

Chociaż te słowa miały mnie pocieszyć, najeżyłam się na dźwięk mojego oficjalnego imienia, na którego stosowanie upierała się moja matka – imienia należącego do tak wielu żyjących przede mną kobiet. Pragnęłam, by chociaż tego ostatniego dnia w Morrighan odsunęła na bok wszelkie formalności i używała uwielbianego przeze mnie pieśczośliwego imienia, nadanego mi przez braci, którzy skrócili do trzech ostatnich liter jedno z moich wielu imion. Lia. To proste imię o wiele bardziej do mnie pasowało.

Drapanie wreszcie ustało.

– Koniec – oznajmił Pierwszy Rękodzielnik. Pozostali rękodzielnicy przytaknęli.

Usłyszałam trzaśnięcie, gdy na stole obok mnie postawiono tacę. Poczułam zniewalający zapach olejku różanego. Zaszurało wiele stóp i wszyscy obecni – moje ciotki, matka, Pauline i pozostali, powołani na świadków ceremonii – otoczyli mnie kołem i zaczęły mamrotać i wyśpiewywać słowa modlitw. Zobaczyłam, jak mija mnie kapłan w czarnej szacie. Wylał na moje plecy odrobinę gorącego olejku. Jego głos wybijał się spośród innych. Rękodzielnicy zaczęli wcierać olejek w moją skórę, przypieczętowując wprawnymi palcami niezliczone

tradycje Domu Morrighan, potwierdzając wypisane na moich plecach obietnice, głosząc swe oddanie dzisiaj i na wieki i zapewniając sobie jutro.

Mogą sobie pomarzyć, pomyślałam z rozgoryczeniem, gdy mój umysł na chwilę odpoczął, zmęczony układaniem po kolei wszystkich zadań, które nadal mnie czekały – tych zapisanych wyłącznie w moim sercu, a nie na kartce papieru. Ledwo słyszałam słowa kapłana, monotonne buczenie, opowiadające o wszystkich ich potrzebach i żadnej mojej.

Miałam tylko siedemnaście lat. Chyba mogłam mieć własne plany i marzenia?

– A dla Arabelli Celestiny Idris Jezelii, Pierwszej Córką Domu Morrighan, owoce jej ofiary i błogosławieństwa...

Gadał i gadał, wymieniał niekończące się błogosławieństwa i sakramenty. Jego mocny głos wypełnił całą komnatę, a potem, gdy już myślałam, że dłużej nie wytrzymam, kiedy niemal zaczynałam się dusić od jego słów, przerwał i przez jedną cudowną chwilę w moich uszach zadźwięczała cisza. Ponownie odcchnęłam. I wtedy nastąpiło ostatecznie błogosławieństwo.

– Gdyż Królestwa powstały z ludzkich prochów i zostały wzniesione na kościach utraconych, i z tego względu winniśmy powrócić, jeśli taka będzie wola Niebios.

Jedną dłonią podniósł moją brodę, a kciukiem drugiej rozmazał popiół na moim czole.

– Tak niech się stanie i Pierwszej Córce Domu Morrighan – dokończyła zgodnie z tradycją moja matka, po czym chustką zamoczoną w olejku starła popiół z mojego czoła.

Zamknęłam oczy i pochyliłam głowę. Pierwsza Córka. Błogosławieństwo i przekleństwo. A jeśli prawda wyjdzie na jaw – także i hańba.

Matka położyła dłoń na moim ramieniu. Pod wpływem jej dotyku zaczęła mnie palić skóra. Pocieszenie z jej strony przybyło zbyt późno. Kapłan wypowiedział ostatnią modlitwę w ojczystym języku mojej matki, modlił się o opiekę, co – o dziwo – nie należało do tradycji, i matka zabrała dłoń.

Polano mnie większą ilością olejku, w chłodnej kamiennej komnacie rozległy się niesamowite, śpiewne modlitwy, ciężki zapach róż wdarł się do mych płuc. Odetchnęłam głęboko. Wbrew sobie czerpałam przyjemność z tej części rytuału, gorące olejki i ciepłe dłonie rozgniatające pokorę, która narastała we mnie od tygodni. Jedwabiste ciepło łagodziło pieczenie skóry, polanej sokiem z cytryny wymieszanym z barwnikiem, a kwiatowy zapach na chwilę zabrał mnie do ukrytego ogrodu, w którym nikt nie mógł mnie znaleźć. Gdyby to było takie proste...

Kolejny etap się zakończył, rękodzielnicy ponownie ode mnie odstępili. Na widok wzoru na moich plecach wszyscy westchnęli z zachwytem.

Usłyszałam szuranie, ktoś przysunął się bliżej.

– Śmiem twierdzić, że kiedy będzie mógł patrzeć na resztę, nie zwróci nawet uwagi na jej plecy.

W komnacie rozległy się chichoty. Ciotka Bernette nigdy się nie patyczkowała, także w obecności kapłana i nawet, jeśli jej słowa miałyby zagrozić protokolowi. Ojciec twierdził, że mam cięty język właśnie po niej. Ostrzeżono mnie, że dziś muszę się kontrolować.

Pauline wzięła mnie za rękę i pomogła mi wstać.

– Wasza Wysokość – rzekła i podała mi miękkie prześcieradło, bym mogła się nim owinąć i zachować resztki godności. Spojrzałyśmy na siebie porozumiewawczo, co bardzo podniosło mnie na duchu, a potem zaprowadziła mnie do wielkiego lustra i podała mi małe lusterko w srebrnej oprawie, żebym sama mogła zobaczyć efekt pracy rękodzielników. Odrzuciłam długie włosy na bok i spuściłam na dół prześcieradło, by popatrzeć na plecy.

Reszta obecnych czekała w milczeniu na moją reakcję. Powstrzymałam się przed westchnięciem z zachwytem. Nie dałabym tej satysfakcji mojej matce – nie mogłam jednak zaprzeczyć, że moje ślubne kavah było wspaniałe. Wywołało u mnie zachwyty. Brzydki herb Królestwa Dalbreck został przedstawiony zaskakująco pięknie, ryczący lew na mych plecach był oswojony i potulny, pod jego łapami znajdowały się misterne wzory, winorośle Morighan, wijące się tu i tam z lekką elegancją na kształt litery „V”, której wierzchołek tworzyły coraz cieńsze pędy, kończące się w zagłębieniu w dolnej części moje-

go kręgosłupa. Lew został wyróżniony, ale jednocześnie poskromiony.

Poczułam ścisk w gardle i szczypanie w oczach. Mogłabym pokochać to kavah... mogłabym je nosić z dumą. Przełknęłam ślinę i wyobraziłam sobie księcia, gapiącego się na nie z zachwytem po zakończeniu składania przysięg, gdy opadnie ślubna peleryna. Lubieżny obrzydliwiec. Musiałam jednak oddać sprawiedliwość rękodzielnikom.

– Jest cudowne. Dziękuję wam. Od tego dnia w Królestwie Dalbreck z pewnością będzie się darzyć rękodzielników z Morrighan najwyższym szacunkiem.

Matka uśmiechnęła się na dźwięk mych słów, wiedząc, że z trudem się na nie zdobyłam.

Po tym wszyscy wyszli na zewnątrz. Pozostałymi przygotowaniami mieli się zająć wyłącznie moi rodzice i Pauline. Matka przyniosła z szafy białą jedwabną halkę, wykonaną z tak cienkiego i śliskiego materiału, że niemal ześlizgiwał się z jej rąk. Traktowałam to jako zbędną formalność, ponieważ halka prawie nic nie zakrywała, co czyniło ją tak przezroczystą i pomocną jak niekończące się warstwy tradycji. Następnie założyłam szatę – dekolt na plecach układał się w takie samo „V”, by zaakcentować kavah, wyróżnić królestwo księcia i podkreślić poddaństwo jego małżonki.

Matka ściągała ukryte w szacie taśmy do sznurowania i dopasowywała je tak, by gorset nie odstawał mimo odkrytych pleców. Był to nie lada wyczyn, tak niezwykle

jak wielki most w Golgacie, a może nawet jeszcze wspanialszy, i zaczęłam się zastanawiać, czy krawcowe nie zaczarowały materiału i wiązań. Wołałam myśleć o tym niż o wydarzeniach, które miały nastąpić w ciągu najbliższej godziny. Matka zrobiła uroczystą minę i odwróciła mnie do lustra.

Mimo mojej niechęci stałam jak zahipnotyzowana. To była najpiękniejsza szata, jaką kiedykolwiek widziałam. Elegancka, gęsta koronka Quiassé, wykonana przez lokalnych koronkarzy, była jedyną ozdobą wokół głębokiego dekoltu. *Prostota*. Dekolt z przodu miał kształt litery „V”, tak jak wycięcie na plecach. W tej szacie wyglądałam jak inna, starsza i mądrzejsza wersja siebie. Jak ktoś o czystym sercu, nieskrywającym żadnej tajemnicy. Jak ktoś... zupełnie do mnie niepodobny.

Bez słowa odeszłam od lustra i wyjrzałam przez okno. Usłyszałam za sobą westchnienie matki. W oddali dostrzegłam samotny czerwonawy szczyt Golgaty, rozpadająca się ruina była wszystkim, co pozostało z czasów świetności ogromnego niegdyś mostu nad rozległą zatoką. Wkrótce, tak jak i reszta mostu, znikną owe ruiny. Nawet tajemna magia Starożytnych nie mogła zapobiec temu, co nieuniknione. Dlaczego mnie miałyby się to udać?

Poczułam ucisk w żołądku i spojrzałam bliżej, na podnóże wzniesienia nisko pod cytadelą, po którym powoli jechały wozy, kierujące się na plac miejski. Pewnie

były załadowane owocami, kwiatami czy beczułkami wina z winnic Morrighan.

Zobaczyłam również wspaniałe powozy, ciągnięte przez rumaki z grzywami zdobionymi wstążkami.

Być może w jednym z tych powozów jechali mój najstarszy brat, Walther, i jego młoda żona. W drodze na mój ślub zapewne trzymali się za ręce i patrzyli sobie głęboko w oczy, nie mogąc oderwać od siebie wzroku. I być może reszta moich braci stała już na placu, uśmiechając się do młodych dziewcząt, które im się podobały. Przypomniałam sobie Regana, który zaledwie kilka dni wcześniej w ciemnym korytarzu szeptał z rozmarzoną miną do córki stangreta, i Bryna, flirtującego co tydzień z nową panną, nieumiejącego się zdecydować na jedną. Uwielbiałam moich trzech starszych braci, którzy mogli się zakochać i ożenić, z kim tylko chcieli. Dziewczęta również mogły wybierać sobie adoratorów. Tak jak wszyscy, łącznie z Pauline, której ukochany miał wrócić do niej pod koniec miesiąca.

– Mamo, jak ty tego dokonałaś? – spytałam, wpatrując się w przejeżdżające pod cytadelą powozy. – Jak zmusiłaś się, by przyjechać tu aż z Gastineux, by wyjść za obrzydliwca, którego wcale nie kochałaś?

– Twój ojciec nie jest obrzydliwcem – odparła surowo.

Odwróciłam się gwałtownie w jej stronę.

– Może jest królem, ale z pewnością jest też obrzydliwcem. Czy chcesz mi powiedzieć, że gdy wychodziłaś

za dwa razy od siebie starszego, obcego mężczyznę, nie uważałaś go za obrzydliwca?

Spojrzała na mnie spokojnie swoimi szarymi oczami.

– Nie. To było moje przeznaczenie i mój obowiązek.

Z mojej piersi wyrwało się znużone westchnienie.

– Bo byłaś Pierwszą Córką.

Matka zawsze zrećźnie unikała tego tematu. Jednak dziś, gdy byliśmy sam na sam i nic nie rozpraszało naszej uwagi, nie mogła od tego uciec. Zesztywniała i po królewsku uniosła podbródek.

– Arabello, to zaszczyt.

– Ale przecież ja nie mam daru Pierwszej Cóрки. Nie jestem Siarrah. Wkrótce w Dalbreck odkryją, że nie jestem tak cenna, jak się spodziewali. Ten ślub to oszustwo.

– Dar może przyjść z czasem – odparła słabo. Nie kłóciłam się z tym. Wiadomo było, że większość Pierwszych Córek otrzymała swoje dary wraz z nadejściem kobiecości, a ja byłam kobietą już od czterech lat. I nie widziałam u siebie żadnego daru. Matka żywiła się fałszywymi nadziejami. Odwróciłam się i ponownie wyjrzałam przez okno. – A nawet jeśli nie przyjdzie – ciągnęła dalej – to ślub i tak nie będzie oszustwem. Związek to coś o wiele więcej niż jedna zaleta. Zaszczyt i przywilej bycia Pierwszą Córką w królewskim rodzie jest darem samym w sobie. Niesie ze sobą historię i tradycję. Tylko to się liczy.

– Ale dlaczego Pierwsza Córka? Masz pewność, że dar nie zostanie przekazany żadnemu z synów? Albo Drugiej Córce?

– Zdarzało się tak, ale... Nie należy się tego spodziewać. No i nie jest to tradycją.

A czy utrata daru również stanowi część tradycji? Te niewypowiedziane słowa zawisły między nami, ostre niczym brzytwa, ale nawet ja nie mogłabym zranić nimi matki. Ojciec przestał konsultować z nią sprawy królestwa już na początku ich małżeństwa, słyszałam jednak opowieści o wcześniejszych czasach, gdy miała silny dar, a z jej słowami wszyscy się liczyli. O ile oczywiście którakolwiek z tych historii była prawdziwa. Niczego już nie byłam pewna.

Nie miałam cierpliwości do takich bzdur. Lubiałam proste słowa i jasny tok rozumowania. Byłam już tak zmęczona wysłuchiwaniami o tradycji, że nabrałam pewności, iż jeśli jeszcze raz ktoś wypowie przy mnie na głos to słowo, moja głowa wybuchnie. Matka pochodziła z innych czasów.

Usłyszałam, jak do mnie podchodzi. Otoczyła mnie swoimi ciepłymi ramionami. Poczulałam kluchę w gardle.

– Moja urocza córko – szepnęła mi do ucha – nieważne, czy dar przyjdzie czy nie. Nie martw się tak. To dzień twojego ślubu.

Z obrzydliwcem. Udało mi się zobaczyć Króla Dalbreck, gdy przyjechał, by podpisać umowę – tak jakbym była koniem, którego sprzedaje się jego synowi. Był zniechęcony i pokrzywiony niczym paluch u stopy starszki cierpiącej na artretyzm – tak stary, że mógłby być ojcem mojego ojca. Przygarbiony, o ślimaczych ruchach,

potrzebował pomocy, by wejść po schodach Wielkiej Sali. Nawet jeśli ksiązę miał o wiele mniej lat, nadal musiał być przywydłym, bezzębnym gogusiem. Na myśl o tym, że miałby mnie dotknąć, a już zwłaszcza...

Zadrzałam, gdy wyobraźnia podsunęła mi obraz, na którym stare kościste dłonie gładzą mój policzek, a pomarszczone, suche usta dotykają moich. Cały czas wyglądałam przez okno, ale widziałam wyłącznie szybę.

– Dlaczego nie mogłam najpierw go ocenić?

Ręce matki opadły.

– Chciałaś oceniać księcia? Nasze stosunki z Dalbreck i tak są już dostatecznie napięte. Mielibyśmy obrazić ich królestwo takim żądaniem? Przecież Morrighan ma nadzieję na najważniejszy sojusz od lat!

– Nie jestem wojownikiem w armii ojca.

Matka przysunęła się bliżej, pogładziła mnie po policzku i odrzekła:

– Owszem, kochanie, jesteś. – Po moim kręgosłupie przebiegł dreszcz. Uścisnęła mnie po raz ostatni i cofnęła się. – Nadszedł czas. Idę do skarbcza po ślubną pelerynę – powiedziała i wyszła.

Przeszłam przez pokój do szafy, otworzyłam jej drzwi, wysunęłam dolną szufladę i wyjęłam z niej woreczek z zielonego aksamitu, w którym znajdował się cienki, inkrustowany klejnotami sztylet. Otrzymałam go od braci na szesnaste urodziny. Nie wolno mi było go używać – przynajmniej oficjalnie – ale na tyłach drzwi garderoby znajdowały się ślady, które wryłam, ucząc się

nim posługiwać. Wyjęłam jeszcze kilka rzeczy, owinęłam je w halkę i przewiązałam wstążką, by zabezpieczyć je przed wypadnięciem.

Wróciła do mnie Pauline, już odświętnie ubrana. Wręczyłam jej małe zawiniątko.

– Zajmę się tym – powiedziała, zdenerwowana przygotowaniami na ostatnią chwilę. Wyszła z komnaty w tym samym momencie, w którym matka wróciła z peleryną.

– Czym ma się zająć? – spytała.

– Dałam jej jeszcze kilka rzeczy, które chcę ze sobą zabrać.

– Przecież wszystko, czego możesz potrzebować, wysłano wczoraj w skrzyniach – odparła i przeszła przez pokój w stronę mojego łóżka.

– Zawsze się o czymś zapomni.

Pokręciła głową, przypominając mi, że w powozie było mało miejsca, a podróż do Dalbreck trwała bardzo długo.

– Poradzę sobie – odrzekłam.

Ostrożnie położyła pelerynę na moim łóżku. Została spryskana parą i powieszona w skarbcu, tak by żadna fałda czy zagięcie nie umniejszyło jej piękna. Pogładziłam palcami delikatny aksamit. Błękit był ciemny niczym o północy, brzegi peleryny wyszyto rubinami, turmalinami i szafirami, przypominającymi gwiazdy. Klejnoty mogły się okazać przydatne. Zgodnie z tradycją peleryna miała zostać zarzucona na ramiona panny młodej przez

oboje rodziców, a jednak moja matka przyszła tu sama.

– A gdzie... – zaczęłam, potem jednak usłyszałam na korytarzu kroki kilku osób. Popadłam w jeszcze większe przygnębienie. Nie przyszedł sam, nawet na tak ważne wydarzenie.

Ojciec wszedł do komnaty z Lordem Wiceregentem z jednej strony, Sekretarzem i Królewskim Mędrcelem z drugiej. Za nimi dreptało wielu sługusów z rządu. Wiedziałam, że Wiceregent jedynie wykonuje swoją pracę – na krótko po podpisaniu dokumentów odciągnął mnie na stronę i powiedział, że opowiadał się przeciwko temu małżeństwu – ale był człowiekiem reprezentującym sztywne zasady – tak jak oni wszyscy. Najbardziej nie lubiłam Uczonego i Sekretarza – doskonale zdawali sobie z tego sprawę – ale nie miałam z tego względu żadnych wyrzutów sumienia, ponieważ wiedziałam, że odwzajemniali moje uczucia. Czułam dreszcze za każdym razem, gdy przebywałam w ich towarzystwie, tak jakbym kroczyła wśród robactwa pragnącego mej krwi. To właśnie oni najbardziej cieszyli się z tego, że udało im się mnie pozbyć.

Ojciec podszedł, pocałował mnie w oba policzki, cofnął się, spojrzął na mnie i westchnął głęboko.

– Jesteś tak piękna jak twoja matka w dniu naszego ślubu.

Zaczęłam się zastanawiać, czy ta niezwykła, jak na niego, czułość była pod publiczkę. Bardzo rzadko widziałam, by matka i ojciec w jakikolwiek sposób oka-

zywali sobie uczucia, potem jednak zobaczyłam, jak na ułamek sekundy oderwał ode mnie wzrok i spojrzał na nią. Odwzajemniła jego spojrzenie, a ja byłam ciekawa, co ich łączyło. Miłość? A może tęsknota za tym, co stracili, a co mogło między nimi zaistnieć? Poczulałam niepewność, na moje usta cisnęły się setki pytań, nie chciałam jednak zadawać żadnego z nich w obecności Sekretarza, Mędrca i całej reszty. Być może właśnie o to chodziło mojemu ojcu.

Czasowy – pulchny mężczyzna o wytrzeszczonych oczach, wyciągnął kieszonkowy zegarek, który zawsze przy sobie nosił. Razem z pozostałymi zaczął poganiać mojego ojca, tak jakby to oni rządzą królestwem, a nie na odwrót.

– Wasza Wysokość, kończy nam się czas – przypomniał.

Wiceregent spojrzał na mnie ze współczuciem, ale pokiwał głową.

– Nie chcemy, by rodzina królewska z Dalbreck musiała czekać na tę doniosłą chwilę. Jak dobrze wiecie, Wasza Wysokość, zostałyby to źle odebrane.

Oderwali od siebie wzrok. Czar prysł. Matka i ojciec unieśli pelerynę i zarzucili mi ją na ramiona, zapięli klamrę na szyi, a potem ojciec założył kaptur na moją głowę i ponownie pocałował mnie w oba policzki, tym razem jednak z dystansem, tylko dla wypełnienia protokołu.

– Arabello, służ dziś dobrze Królestwu Morrighan.

Lio.

Nienawidził imienia Jezelia, ponieważ nigdy wcześniej nie występowało w królewskim rodzie *ani nigdzie indziej*, jednak moja matka uparła się na nie bez wyraźnej przyczyny. Pod tym względem okazała się nieugięta. To był prawdopodobnie ostatni czas, gdy mój ojciec jej ustąpił. Nigdy bym się o tym nie dowiedziała, gdyby nie ciotka Bernette, a nawet ona poruszała ten temat bardzo ostrożnie, ponieważ moi rodzice nadal różnili się w tym względzie.

Przyjrzałam mu się. Po ulotnej czułości nie było już śladu, wrócił myślami do spraw wagi państwowej, jednak w nadziei na więcej wytrzymałam jego spojrzenie. Nic nie znalazłam. Uniosłam podbródek, wyprostowałam się.

– Tak, Wasza Wysokość, będę służyć królestwu, czyniąc swoją powinność. Bądź co bądź jestem wojownikiem w twojej armii.

Zmarszczył czoło i spojrzał na matkę ze zdziwieniem. Pokręciła nieznacznie głową, w milczeniu kończąc całą sprawę. Ojciec, jak zawsze po pierwsze król, a dopiero po drugie ojciec, ucieszył się z tego, że może puścić mój komentarz mimo uszu, ponieważ, jak zwykle, ważniejsze były inne sprawy. Odwrócił się i wyszedł ze swą świtą, rzuciwszy mi, że spotkamy się w opactwie. Jak na razie wypełnił swój obowiązek względem mnie. *Obowiązek*. Drugie – obok *tradycji* – znieawidzone przeze mnie słowo.

– Jesteś gotowa? – spytała matka, gdy pozostali opuścili komnatę.

Kiwnęłam głową.

– Przed wyjazdem muszę jeszcze pójść za potrzebą. Spotkamy się w dolnej sali.

– Mogę...

– Matko, proszę... – Mój głos załamał się po raz pierwszy. – Potrzebuję kilku minut dla siebie.

Matka uspokoiła się i po chwili usłyszałam na korytarzu jej samotne kroki.

– Pauline? – szepnęłam, klepiąc się po policzkach.

Pauline weszła do mojego pokoju z garderoby. Popatrzyłyśmy na siebie – słowa nie były potrzebne – doskonale rozumiejąc, co nas czeka, ponownie analizując szczegóły dnia, które ustaliłyśmy podczas długiej, bezsennej nocy.

– Jesteś pewna? Możesz jeszcze zmienić zdanie – powiedziała, dając mi ostatnią szansę na wycofanie się.

Pewna? Poczulałam bolesny ucisk w klatce piersiowej, ból był tak silny i prawdziwy, że zaczęłam się zastanawiać, czy serce rzeczywiście może pęknąć. A może to był po prostu strach? Przycisnęłam dłoń do piersi, próbując złagodzić bolesne ukłucie. Może tak właśnie miało być.

– Nie ma już odwrotu. Dokonano za mnie wyboru. Od tej pory będę musiała żyć z tym przeznaczeniem, na dobre i na złe.

– Będę się modlić o to, żeby było tylko na dobre, ma przyjaciółko – odrzekła Pauline i pokiwała głową ze zrozumieniem. Po chwili biegłyśmy pustym korytarzem na tyły cytadeli, a potem w dół po ciemnych schodach dla

służby. Nikogo nie spotkałyśmy – wszyscy albo byli zajęci przygotowaniami na ceremonię w opactwie, albo czekali przed cytadelą na królewską procesję na plac.

Wyszłyśmy przez niewielkie drewniane drzwi o grubych czarnych zawiasach na oślepiające słońce, wiatr targał naszymi sukniami i zrzucił mój kaptur. Dostrzegłam tylną bramę twierdzy, wykorzystywaną wyłącznie podczas polowań i dyskretnych wyjść z cytadeli, otwartą już tak, jak rozkazałam. Pauline powiodła mnie przez błotnisty padok do szopy na powóz, gdzie czekał na nas przeżony stajenny z dwoma osiodłanymi końmi. Na mój widok oczy chłopaka rozszerzyły się jeszcze bardziej.

– Wasza Wysokość, przygotowano powóz – powiedział, dławiąc się i krztusząc ze strachu. – Czeka przy schodach przed cytadelą. Jeśli...

– Plany się zmieniły – przerwałam mu stanowczo i zebrałam szatę, by móc włożyć stopę w strzemię. Jasnowłosey chłopak rozdziawił usta na widok mojej nieskazitelnie dotąd czystej szaty, teraz już ubłoconej. Błoto pokrywało również moje rękawy, koronkowy gorset i, co najgorsze, wyszywaną klejnotami ślubną pelerynę Morrighan.

– Ale...

– Szybko! Podnieś rękę! – warknęłam, biorąc od niego lejce. Posłuchał mnie, a potem w ten sam sposób pomógł Pauline.

– Co mam powiedzieć...?

Nie słyszałam końca pytania – tętent galopujących

kopyt zagłuszył wszystkie jego byle i obecne argumenty. Z Pauline u mego boku, po wykonaniu ruchu, którego nigdy nie będę mogła cofnąć – ruchu, który zakończył tysiąc snów, ale dał początek jednemu nowemu, pognałam w stronę lasu. Ani razu się nie obejrzałam.



*byśmy nie powtarzali historii,
opowieści muszą być przekazywane
synowi przez ojca, córce przez matkę,
albowiem historia i prawda mogą zginąć
w ciągu jednego pokolenia.*

– Księga Świętych Tekstów Morrighan, tom III



Rozdział 2



Krzyczałyśmy. Wrzeszczałyśmy, ile sił w płucach, wiedząc, że wiatr, otaczające nas wzgórza i odległość zapewniają nam wolność i nikt nas nie usłyszy. Krzyczałyśmy z lekkomyślnym zapamiętaniem i z pierwotnej potrzeby uwierzenia w naszą ucieczkę. Gdybyśmy w nią nie wierzyły, strach przejąłby nad nami kontrolę. Ja już czułam go na swoich plecach.

Ruszyłyśmy na północ ze świadomością, że stajenny będzie na nas patrzeć tak długo, aż znikniemy w lesie. W gęstwinie dojechałyśmy do strumyka, który widziałam podczas polowań z braćmi, i przejechałyśmy przez płytką wodę, aż dotarłyśmy do kamienistego nasypu po drugiej stronie, umożliwiającego nam wyjechanie ze strumienia. Dzięki temu nie zostawiłyśmy śladów ani odcisków kopyt i inni nie mogli nas śledzić.

Gdy ponownie wyjechałyśmy na stały ląd, wbiłyśmy pięty w końskie boki i ruszyłyśmy przed siebie, jakby

gonił nas jakiś potwór. Jechałyśmy i jechałyśmy rzadko uczęszczaną ścieżką, wijącą się wśród gęstych sosen, które w razie konieczności zapewniłyby nam schronienie. Czasami kręciło się nam w głowach od śmiechu, czasami po naszych policzkach płynęły łzy, wyciskane przez zawrotną prędkość, jednak przez większość czasu milczałyśmy, nie wierząc w to, na co się odważyłyśmy.

Po godzinie nie wiedziałam już, co boli mnie bardziej – uda, łydki, w których co jakiś czas czułam skurcze, czy poobijane plecy. Każda część mojego ciała była przyzwyczajona wyłącznie do sztywnego królewskiego kroku, ponieważ przez kilka ostatnich miesięcy ojciec nie chciał pozwolić mi na nic więcej. Od ściskania lejców grabiały mi palce, ale Pauline się nie zatrzymywała, jechałam więc za nią.

Suknia ciągnęła się za mną. Właśnie wzięłam w niej ślub z życiem pełnym niepewności, którego mimo wszystko bałam się mniej niż tego wcześniejszego, pewnego. W tym życiu sama mogłam decydować o swoich marzeniach, a ograniczać mnie miała wyłącznie moja wyobraźnia. Sama rządziłam moim życiem.

Straciłam poczucie czasu, liczył się tylko rytm wybijany przez końskie kopyta, każde uderzenie oznaczało coraz większą odległość. Wreszcie, niemalże jednomyślnie, nasze połyskujące od potu, kasztanowe Raviany prychnęły i zwolniły, tak jakby potajemnie się ze sobą porozumiewały. Raviany były dumą stajni Morrighan, a te dwa dały nam wszystko, co miały najlepszego. Spojrzałam na

zachodnie niebo, w większości zasłonięte wierzchołkami drzew. Przed nami były jeszcze co najmniej trzy godziny światła dziennego. Nie mogliśmy się zatrzymać. Ruszyliśmy wolniejszym tempem, aż wreszcie słońce zniknęło za Górami Andeluchi i zaczęliśmy szukać bezpiecznego miejsca na rozbicie obozu.

Jadąc wśród drzew i szukając dobrego punktu na nocleg, uważnie nasłuchiwałam wszystkich odgłosów. Gdy nagle rozległ się odległy skrzek ptaków, który wzniósł się ponad lasem niczym ostrzeżenie, poczułam mrowienie na karku. Dotarliśmy do rozpadających się ruin Starożytnych, ścian i filarów, które należały teraz bardziej do lasu niż do cywilizacji. Były pokryte grubym zielonym mchem i porośnięte roślinami, które prawdopodobnie były jedyną rzeczą, jaka trzymała te ruiny pionowo. Możliwe, że owe niewielkie ruiny były niegdyś częścią wspaniałej świątyni, teraz jednak paprocie i winorośle próbowały oddać wszystko ziemi. Pauline pocałowała grzbiet swej dłoni, zapewniając sobie błogosławieństwo i ochronę przed duchami, które mogły tam na nas czyhać, i ściągnęła lejce, by szybciej pojechać. Ja ani nie pocałowałam swej dłoni ani nie ruszyłam z kopyta, zaczęłam się za to przyglądać pozostałościom z innych czasów z ciekawością, jak zawsze, gdy widziałam coś nowego. Zastanawiałam się, jacy ludzie wznieśli te budowle.

Wreszcie dojechałyśmy do niewielkiej polany. Nad nami błyskały ostatnie promienie słoneczne tego dnia,

obie ledwo siedziałyśmy już w siodłach i w milczeniu zgodziłyśmy się co do tego, że będzie to najlepsze miejsce do rozbicia obozu. Jedyne, czego pragnęłam, to paść na trawę i spać do rana, ale konie również były bardzo zmęczone i wymagały naszej uwagi, zwłaszcza że tylko dzięki nim mogliśmy uciec.

Zrzuciłyśmy siodła, które spadły z hukiem na ziemię, ponieważ nie miałyśmy sił ich zdjąć, a potem wytrzepałyśmy wilgotne koce i rozwiesiłyśmy je na gałęzi, by wyschły. Następnie poklepałyśmy zwierzęta po zadach. Po chwili konie ruszyły w stronę strumienia, by się napić.

Pauline i ja opadłyśmy na ziemię, zbyt zmęczone, by jeść, chociaż żadna z nas nie jadła przez cały dzień. Tego ranka byłyśmy zbyt zdenerwowane naszymi potajnymi planami, by myśleć o porządnym posiłku.

Wprawdzie od wielu tygodni rozważałam ucieczkę, ale była ona nie do pomyślenia nawet dla mnie, aż do czasu pożegnalnej wieczerzy, która miała miejsce poprzedniego wieczora w Sali Aldrida. To właśnie wtedy wszystko się zmieniło i to, co nie do pomyślenia, nagle stało się jedynym wyjściem. Gdy w komnacie rozlegały się toasty i wybuchy śmiechu, a ja poczułam się przytłoczona ciężarem hałaśliwej uczyty i pełnych satysfakcji uśmiechów ministrów ojca, spojrzałam na Pauline. Stała pod przeciwległą ścianą, razem z pozostałymi sługami. Wystarczyło, że pokręciłam głową, i już wszystko wiedziała. Nie mogłam tego uczynić. Odwzajemniła kiwnięcie.

Nikt nie zauważył naszych gestów, ale późnym wieczorem, po wyjściu wszystkich gości, wróciła do mojej komnaty i zaczęłyśmy snuć plany. Miałyśmy tak mało czasu i tyle do załatwienia, i niemal wszystko zależało od tego, czy uda nam się zdobyć dwa osiodłane konie, tak by nikt się o tym nie dowiedział. O świcie Pauline udało się uniknąć Mistrza Stajni, zajętego przygotowywaniem koni na królewską procesję, i po cichu porozmawiała z najmłodszym stajennym, zbyt onieśmielonym, by odmówić spełnienia rozkazu pochodzącego bezpośrednio z dworu królowej. Jak na razie nasz pośpiesznie ułożony plan działał.

Chociaż byłyśmy zbyt zmęczone, by jeść, gdy słońce zaczęło zachodzić i zapadał zmrok, nasze zmęczenie ustąpiło miejsca strachowi. Zaczęłyśmy szukać drewna na opał, by odstraszyć stworzenia czyhające w lesie albo przynajmniej zobaczyć ich kły, zanim nas pożrą.

Ciemność zapadła szybko i zasłoniła cały świat poza niewielkim migającym okręgiem, grzejącym nasze stopy. Patrzyłam, jak płomienie liżą powietrze przed nami, słuchałam trzasków i syków ognia, szumu lasu. Były to jedyne dźwięki, my jednak starałyśmy się usłyszeć coś jeszcze.

– Myślisz, że są tu niedźwiedzie? – spytała Pauline.

– Oczywiście. – Ja myślałam już o tygrysach. Pewnego dnia stanęłam oko w oko z jednym z nich, byłam tak blisko, że czułam jego oddech, słyszałam warczenie, opryskał mnie śliną, chcąc mnie pożreć. Czekałam na

śmierć. Nie miałam pojęcia, dlaczego ostatecznie nie zaatakował, ocaliło mnie dalekie wołanie brata, który zaczął mnie szukać. Zwierzę zniknęło w gęstwinie tak szybko, jak się pojawiło. Nikt nie chciał mi w to uwierzyć. Zgłaszano przypadki występowania kilku tygrysów w Cam Lanteux, ale Morrighan nie było ich naturalnym środowiskiem. Szkliste żółte ślepie bestii nadal śniły mi się po nocach. Patrzyłam na znikające w ciemności płomienie, w stronę miejsca, w którym w sakwie przy siodle znajdował się mój sztylet, zaledwie kilka kroków od bezpiecznego kręgu światła. Myślenie o tym teraz było głupotą. – Jeszcze gorsi niż niedźwiedzie mogą być barbarzyńcy – powiedziałam z udawanym przerażeniem w głosie, próbując rozluźnić atmosferę.

Oczy Pauline rozszerzyły się z przerażenia, chociaż migotała w nich iskierka rozbawienia.

– Słyszałam, że mnożą się jak króliki – odparła – i odgryzają lby małym zwierzętom.

I rozmawiają ze sobą, prychnając i chrząkając. Ja też znałam te historie. Żołnierze, którzy wracali z patroli, opowiadali o brutalności barbarzyńców i o tym, że jest ich coraz więcej. To właśnie ze względu na nich odsunięto na bok wrogość królestw Morrighan i Dalbreck i zawarto niełatwy sojusz – moim kosztem. Wielkie, dzikie królestwo po drugiej stronie kontynentu z rosnącą populacją i – jak mówiły plotki – zaczynające przesuwanie swych granic stanowiło większe zagrożenie dla trochę bardziej cywilizowanego sąsied-

niego królestwa, najmniej zniszczonego z wybranych Ocalałych. Połączone siły Morrighan i Dalbreck mogłyby wiele zdziałać, jednak osobno królestwa te były bezbronne. Tylko Wielka Rzeka i Cam Lanteux mogły powstrzymać barbarzyńców.

Pauline wrzuciła do ogniska kolejną suchą gałąź.

– Masz talent do języków – powiedziałam. – Nie powinnaś mieć problemu ze zrozumieniem chrząknięć barbarzyńców. Ostatecznie przecież w taki sposób porozumiewa się pół królewskiego dworu.

Zacząłyśmy chichotać i udawać głośne pohukiwania Sekretarza i wyniosłe prychnięcia Mędrca.

– A widziałas kiedyś jakiegoś? – spytała.

– Ja? Czy widziałam barbarzyńcę? W ciągu ostatnich lat trzymano mnie na tak krótkim łańcuchu, że niemal niczego nie widziałam.

Moje wolne dni, spędzane na włóczeniu się po wzgórzach i ganiu za braćmi, skończyły się, gdy rodzice stwierdzili, że zaczynam wyglądać jak kobieta, więc powinnam się zachowywać jak kobieta. Zabrano mi swobodę, jaką cieszyłam się z Waltherem, Reganem i Brynem, nie mogłam już zwiedzać starych ruin w lasach, galopować konno po łąkach, polować na małe zwierzęta i figlować. W miarę, jak dorastaliśmy, psoty braci były lekceważone, ale moje nie – i od tego czasu wiedziałam, że mierzono mnie inną miarą niż ich.

Po tym, jak ograniczono moje działania, opanowałam umiejętność wymykania się po cichu – którą dziś wyko-

rzystałam. Moi rodzice z pewnością by tego nie docenili, ja jednak byłam z tego dumna. Mędrzec podejrzewał, że potajemnie się włóczę, i zastawiał na mnie kiepskie pułapki, których z łatwością unikałam. Wiedział, że szperałam po komnacie ze starożytnymi tekstami, co było zakazane, ponieważ teksty były rzekomo zbyt delikatne, by dotykały ich nieostrożne dłonie, takie jak moje. Wtedy jednak, nawet gdy udało mi się wymknąć z zamkniętej cytadeli, nie miałam dokąd uciec. Znali mnie wszyscy w Civica i informacje o mnie mogły w prosty sposób trafić do rodziców. Skutkiem tego moje eskapady następowały głównie nocą i ograniczały się do okazjonalnych wypadów do tylnych komnat, gdzie grałam w karty czy kości z braćmi i ich zaufanymi przyjaciółmi, którzy potrafili trzymać język za zębami na temat młodszej siostry Walthera i być może nawet mi współczuli. Moi bracia bardzo lubili zaskakiwać przyjaciół moim widokiem. Nie zmieniano tematów ani sposobu wysławiania się ze względu na moją pleć czy tytuł, dzięki czemu podczas tych skandalicznych pogaduszek z chłopakami nauczyłam się rzeczy, których nigdy nie nauczyłby mnie królewski guwernant.

Zasłoniłam oczy dłonią, jakbym szukała mych towarzyszy wśród drzew.

– Ucieszyłabym się teraz z widoku tych dzikusów. Barbarzyńcy, pokażcie się! – krzyknęłam. – Żadnej odpowiedzi. – Chyba się nas boją.

Pauline zaczęła się śmiać, ale w powietrzu między nami wisiało zdenerwowanie, wywołane naszą bra-

wurą. Doskonale wiedziałyśmy, że od czasu do czasu można było spotkać niewielkie grupki barbarzyńców w lasach między Vendą a zakazanymi terenami Cam Lanteux. Czasami nawet zuchwale wybierali się do królestw Morrighan i Dalbreck, a gdy odkrywano ich obecność, znikali tak łatwo jak wilki. Na razie jednak znajdowałyśmy się zbyt blisko Morrighan, by się nimi martwić. Przynajmniej miałam taką nadzieję. Istniały o wiele większe szanse na spotkanie włóczęg, wędrownych nomadów, którzy niekiedy oddalali się od Cam Lanteux. Jeszcze nigdy nie widziałam żadnego z nich na własne oczy, ale słyszałam wiele przedziwnych opowieści na ich temat. Jeździli kolorowymi wozami i sprzedawali błyskotki, kupowali zapasy, sprzedawali tajemnicze mikstury, a czasami grali muzykę za monetę lub dwie, ale to nie nimi przejmowałam się najbardziej. Najbardziej martwiłam się ojcem i tym, że wciągnęłam w to Pauline. Poprzedniej nocy nie zdążyłyśmy poruszyć wielu ważnych tematów.

Wpatrywała się w ognisko nieobecny wzrokiem i od czasu do czasu dorzucała drewna. Cechowała ją zaradność, wiedziałam jednak, że nie jest nieustraszona, przez co jej dzisiejsza odwaga była o wiele większa niż moja. Wskutek tego, co uczyniła, mogła stracić wszystko. Ja mogłam wszystko zyskać.

– Pauline, przepraszam. Przeze mnie znalazłaś się w ogromnych tarapatkach.

Wzruszyła ramionami.

– I tak miałam stamtąd wyjechać. Przecież ci o tym mówiłam.

– Tak, ale nie w taki sposób. Mogłabyś opuścić królestwo w o wiele bardziej sprzyjających okolicznościach.

Uśmiechnęła się. Nie mogła mi nie przytaknąć.

– Być może. – Jej uśmiech zaczął powoli blednąć. – Ale żadna z przyczyn mojego odejścia nie była tak poważna jak ta. Nie zawsze można czekać na odpowiednią chwilę.

Nie zasługiwałam na taką przyjaciółkę. Współczucie, jakie mi okazywała, sprawiało mi ból.

– Będą nas ścigać – powiedziałam. – Zostanie wyznaczona nagroda za moją głowę. Nie zdążyliśmy omówić tego w nocy.

Odwróciła ode mnie wzrok i energicznie pokręciła głową.

– Nie, twój ojciec na pewno tego nie zrobi.

Westchnęłam, przyciągnęłam kolana pod brodę i zaczęłam się wpatrywać w rozżarzone węgielki u mych stóp.

– Będzie pierwszym, który to zrobi. Dokonałam aktu zdrady, takiej samej, jak żołnierz, który zdezerteruje z jego armii. I co gorsze, upokorzyłam go. Sprawiałam, że wyszedł na słabego. Jego rząd nie da mu o tym zapomnieć. Będzie musiał działać.

Z tym również nie mogła się nie zgodzić. Odkąd skończyłam dwanaście lat, jako członek dworu królewskiego musiałam brać udział i być świadkiem egzekucji wykony-

wanych na zdrajcach. Zdarzało się to rzadko, ponieważ publiczne wieszanie winowajców było skutecznym sposobem na powstrzymanie przed popełnianiem tego typu przestępstw, ale obie znałyśmy historię rodzonej siostry mego ojca. Zginęła przed moimi narodzinami – rzuciła się ze Wschodniej Wieży. Jej syn uciekł z armii i miała świadomość, że król nie oszczędzi nawet swojego siostrzeńca. I nie zrobił tego. Chłopaka powieszono następnego dnia. Oboje, okryci hańbą, zostali pochowani we wspólnym nieoznakowanym grobie. Niektórych granic w Morrighan nie wolno było przekraczać. Jedną z nich była lojalność.

Pauline zmarszczyła brwi.

– Lio, ale przecież ty nie jesteś żołnierzem, tylko jego córką. Nie miałaś wyboru, a to oznaczało, że ja również nie miałam wyboru. Nikogo nie wolno zmuszać do poślubienia niekochanej osoby. – Położyła się, popatrzyła w gwiazdy i zmarszczyła nos. – A już zwłaszcza do wyjścia za jakiegoś starego wyniosłego i nadętego księcia.

Znowu zaczęłyśmy chichotać. Z każdym oddechem byłam coraz bardziej wdzięczna za Pauline. Patrzyłyśmy na konstelacje, opowiedziała mi o Mikaelu, o obietnicach, jakie sobie złożyli, o czułych słowach, które szeptał jej do ucha, i planach, jakie snuli, gdy wróci z ostatniego patrolu z Królewską Strażą pod koniec tego miesiąca. Widziałam w jej oczach miłość, gdy o nim opowiadała, nawet głos jej się zmienił.

Mówiła mi, jak bardzo za nim tęskni. Była przekonana, że on ją znajdzie, ponieważ znał ją najlepiej na

świecie. Wiele godzin przegadali o Terravinie – o życiu, jakie będą tam wieść, i dzieciach, które wychowają. Im więcej mi opowiadała, tym większy odczuwałam ból. Ja miałam bardzo mgliste plany na przyszłość, większości z nich wcale nie chciałam realizować, natomiast plany Pauline dotyczyły prawdziwych ludzi, miała obmyślane wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Stworzyła sobie z kimś przyszłość.

Zastanawiałam się, jak to jest mieć kogoś, kto tak dobrze mnie zna, kogoś, kto potrafi spojrzeć w głąb mej duszy, czyj dotyk sprawi, że przestanę myśleć o czymkolwiek innym. Próbowałam wyobrazić sobie kogoś, kto pragnie tego samego, co ja, i chce spędzić ze mną resztę życia, nie tylko dlatego że w jego imieniu podpisano jakiś dokument o zawarciu małżeństwa bez miłości.

Pauline ścisnęła moją dłoń i usiadła, a następnie dorzuciła więcej gałęzi do ogniska.

– Prześpijmy się, żebyśmy mogli wyruszyć wcześniej rano.

Miała rację. Czekał nas co najmniej tydzień podróży, przy założeniu, że się nie zgubimy. Pauline nie była w Terravinie od czasów dzieciństwa i nie знаła dokładnie drogi, a ja w ogóle tam nie byłam, tak więc mogłyśmy jedynie słuchać jej instynktu i liczyć na pomoc obcych. Rozłożyłam dla nas koc na ziemi i wyjęłam z włosów igły drzew.

Spojrzała na mnie niepewnie.

– Będiesz mieć coś przeciwko, jeśli najpierw wypowiem święte upamiętnienia? Zrobię to po cichu.

– Oczywiście, że możesz to zrobić – szepnęłam, próbując wykazać dla niej odrobinę szacunku, i jednocześnie z poczuciem winy, że ja nie miałam ochoty ich wypowiedzieć. Pauline była bardzo wierząca, a ja nie ukrywałam swojej niechęci do tradycji, które dyktowały moją przyszłość.

Uklękała i zaczęła monotonicznie wypowiadać święte upamiętnienia. Jej głos przypominał łagodne akordy harfy, które rozbrzmiewały w całym opactwie. Obserwowałam przyjaciółkę i myślałam o tym, jak głupi jest los. Byłaby o wiele lepszą Pierwszą Córką Morrighan, córką, której z pewnością pragnęliby moi rodzice, cichą i dyskretną, cierpliwą, lojalną wobec tradycji, o czystym sercu, potrafiącą zauważyć to, co niewypowiedziane, o wiele bliższą posiadania daru, niż ja kiedykolwiek będę. Pod wszystkimi względami Pauline idealnie nadawała się na Pierwszą Córkę.

Położyłam się i słuchałam wyśpiwywanej przez nią historii o pierwotnej Pierwszej Córcie, która wykorzystała dany jej przez bogów dar do wyprowadzenia Ocalałych w bezpieczne miejsce, do nowej krainy, by mogli zostawić spustoszony świat i zbudować nowy, pełen nadziei. Wyśpiwywane przez nią melodyjne słowa były piękne, służące zbawieniu, interesujące. Zatraciłam się w ich rytmie, w głębi otaczających nas lasów, w świecie, który gdzieś tam się znajdował, zatraciłam się w minionych czasach. W tych delikatnych dźwiękach historia sięgała początków wszechświata. Niemal ją czułam.

Patrzyłam w niebo wysoko nad sosnami – było niemożliwe do dotknięcia, lśniące, żywe – i rosło we mnie pragnienie wyciągnięcia ręki i dotknięcia jego magii. Drzewa również wyglądały magicznie, drżały w harmonii niczym armia duchów – cały znany mi świat znalazł się poza moim zasięgiem.

Pomyślałam o wszystkich tych trzymanyh w tajemnicy chwilach, które przeżyłam jako dziecko, gdy w środku nocy wymykałam się do najspokojniejszej części cytadeli – na dach – do miejsca, w którym panowała idealna cisza, a ja stawałam się jednym z punkcików związanych z wszechświatem. Czułam się tam blisko czegoś, czego nie potrafiłam nazwać.

Gdybym tylko mogła wyciągnąć rękę i sięgnąć gwiazd, posiadłabym całą wiedzę. Zrozumiałabym.

Co byś zrozumiała, kochanie?

To, odparłabym, przyciskając dłoń do piersi. Brakowało mi słów, by opisać ból, który czułam.

Drogi dziecko, tutaj nie ma co rozumieć. Tu jest tylko chłód nocy. Matka wzięłaby mnie w ramiona, a potem zaprowadziłaby mnie z powrotem do łóżka. Później, gdy moje nocne wędrówki się nie skończyły, kazała założyć zamek przy wyjściu na dach, tak żebym nie mogła tam wychodzić.

Pauline wreszcie skończyła. Uleciały jej ostatnie, pełne czci słowa. *Niechaj i tak będzie na wieki.*

– Na wieki – szepnęłam do siebie, zastanawiając się, ile to czasu.

Zwinęła się na kocu obok mnie, przykryłam nas obie ślubną peleryną. Cisza, która nagle zapadła, sprawiła, że las zrobił zuchwały krok naprzód, a nasz krąg światła zmalął.

Pauline szybko zasnęła, ja jednak nadal przeżywałam wydarzenia minionego dnia. Nieważne, że byłam wykończona, a w zmęczonych mięśniach wciąż czułam skurcze – w mojej głowie rozpoczęła się gonitwa myśli.

Jedynym pocieszeniem było patrzenie w migające gwiazdy i myśl, że księżę Dalbreck prawdopodobnie też teraz nie śpi, tylko wściekły jedzie do domu porytą koleinami drogą, a od podróży zimnym, niewygodnym po-
wozem bołą go wszystkie stare kości. Nie ma przy sobie młodej żony, która mogłaby go ogrzać.



Rozdział 3



KSIĄŻĘ

Zapiąłem klamrę w sakwie. Miałem zapasy na dwa tygodnie, a w torbie dodatkowe monety, które się przydadzą, jeśli zajmie mi to dłużej. Po drodze z pewnością wstąpię do jednego czy dwóch zajazdów. Prawdopodobnie znajduję się jakiś dzień drogi od cytadeli.

– Nie pozwolę ci tego zrobić.

Uśmiechnąłem się do Svena.

– Myślisz, że mam jakiś wybór?

Nie byłem już jego podopiecznym, którego miał chronić przed kłopotami. Byłem dorosłym mężczyzną, wyższym od niego o pięć centymetrów i cięższym o trzydzieści kilogramów, i miałem w sobie tyle stłumionej wściekłości, że mogłem uchodzić za budzącego postrach przeciwnika.

– Nadal jesteś zły. A przecież minęło zaledwie kilka dni. Daj sobie trochę więcej czasu.

– Nie jestem zły. Raczej rozbawiony. Zaciekawiony.

Sven złapał lejce mojego konia, przez co zwierzę się szarpnęło.

– Jesteś zły, bo ona jako pierwsza wpadła na ten pomysł.

Czasami go nienawidziłem. Jak na okaleczonego w walce twardziela był za bardzo spostrzegawczy. Zabrałem mu lejce.

– Tylko rozbawiony. I zaciekawiony – zapewniłem.

– Już to mówiłeś.

– Tak. – Przykryłem grzbiet konia kocem i wygładziłem fałdy.

Sven nie widział nic zabawnego w mej wyprawie i gdy zakładałem siodło, cały czas próbował mnie powstrzymać. Prawie go nie słuchałem. Myślałem tylko o tym, jak dobrze będzie stąd wyjechać. Mój ojciec był bardziej wściekły niż ja; twierdził, że to celowy afront: *Bo jaki król nie potrafi zapanować nad swoją córką?* To była jedna z jego rozsądniejszych wypowiedzi.

On i jego rząd już rozmieszczali oddziały w oddalonych fortyfikacjach, by udowodnić Morrighan, na czym polega stanowczość. Zawarty z takim trudem sojusz został obalony, jednak o wiele gorsze niż dumne wypinanie piersi rządu i teorie konspiracyjne były pełne smutku spojrzenia mojej matki. Próbowwała już znaleźć mi inną pannę młodą, tym razem w Królestwach Mniejszych, albo nawet spośród naszej arystokracji, ale przecież zupełnie nie o to chodziło.

Włożyłem stopę w strzemień i wspiąłem się na siodło. Koń prychnął i tupnął, tak jak i ja, chcąc jak najszybciej opuścić to miejsce.

– Poczekaj! – zawołał Sven i stanął mi na drodze, co było dość niemądrym zachowaniem jak na kogoś, kto miał sporą wiedzę o koniach – zwłaszcza moich. Zorientował się, co zrobił, i przesunął się na bok. – Nawet nie wiesz, dokąd uciekła. Jak chcesz ją znaleźć?

Uniosłem brwi.

– Sven, nie wierzysz w moje umiejętności. Uczyłem się od najlepszych.

Niemal widziałem, jak sam siebie przeklina. Zawsze nacierał mi twarz, gdy nie potrafiłem się skupić, walił mnie po uszach, gdy byłem od niego niższy o dwie głowy, i przypominał, że mam najlepszego nauczyciela i nie wolno mi zmarnować tego czasu. Oczywiście oboje byliśmy świadomi ironii losu. Miał rację. Miałem najlepszego nauczyciela. Nauczył mnie wszystkiego. W wieku ośmiu lat trafiłem do niego jako terminator, w wieku lat dwunastu zostałem kadetem, w wieku czternastu złożyłem śluby, a jako szesnastolatek oficjalnie stałem się żołnierzem. Pod jego opieką spędziłem więcej czasu niż z własnymi rodzicami. Byłem utalentowanym wojownikiem, w dużej mierze zawdzięczałem to właśnie jemu, wyróżniałem się podczas treningów, co czyniło tę sytuację jeszcze bardziej nieznośną. Prawdopodobnie byłem najmniej wypróbowanym w praktyce wojownikiem w historii.

Lekcje Svena obejmowały historię królewskiego wojska – czyli dokonania wielu przodków. Członkowie rodziny królewskiej, łącznie z moim ojcem, zawsze mieli wojskowe doświadczenie. Został generałem, gdy jego własny ojciec nadal siedział na tronie, ponieważ jednak byłem jedynym następcą jedynego następcy, moja aktywność wojownika została bardzo ograniczona. Nie miałem nawet kuzyna, który ewentualnie mógłby zająć moje miejsce. Zawsze jeździłem z towarzyszami, nigdy jednak nie puszczano mnie na front. Zanim mogłem wjechać na jakiegokolwiek pole bitwy, pilnowano, by już dawno było po wszystkim, a i tak nawet wtedy byłem otoczony najsilniejszymi wojownikami z oddziału, którzy chronili mnie przed flarami.

Aby mi to zrekompensować, Sven zawsze dawał mi dwa razy więcej najgorszej i najbrudniejszej roboty przeznaczonej dla naszego oddziału, by zdusić w zarodku wszelkie plotki o tym, że jestem faworyzowany – od czyszczenia pełnych nawozu stajni po ładowanie na wozy i wywożenie trupów po bitwie. Nigdy nie dostrzegłem gniewu na twarzach moich kompanów ani nie słyszałem od nich słowa skargi, jednak widziałem współczucie w ich oczach. Wojownik bez doświadczenia, niezależnie od tego, jak świetnie wyszkolony, nie jest wojownikiem.

Sven dosiadł swego konia i zaczął jechać obok mnie. Wiedziałem, że daleko nie zajędzie. Chociaż bardzo krytykował moje plany – to był jego obowiązek – przez wszystkie lata spędzone razem bardzo się ze sobą zżyliśmy.

– A jak się dowiem, gdzie jesteś?
– Nie dowiesz się. To dopiero, prawda?
– A co mam powiedzieć twoim rodzicom?
– Że miałem muchy w nosie i wyjechałem na lato do chaty myśliwskiej. Powinno im się to spodobać. To miłe, bezpieczne miejsce.

– Na całe lato?

– To się okaże.

– Coś może się wydarzyć.

– Owszem. Nawet mam nadzieję, że się wydarzy.

Nie ułatwiasz sobie zadania, wiesz?

Obserwowałem go kątem oka. Widziałem, jak przygląda się mojemu ekwipunkowi, co oznaczało, że jest naprawdę zrezygnowany i pozwoli mi pójść w nieznaną. Gdybym nie był następcą tronu, w ogóle by się nad tym nie zastanawiał, wiedział, że doskonale przygotował mnie na to, co najgorsze i najbardziej zaskakujące. Moje umiejętności – przynajmniej podczas treningów – zostały potwierdzone. Chrząknął, co oznaczało, że niechętnie zgadza się na tę wyprawę. Przed nami znajdował się jar, tak wąski, że nie mieściły się w nim dwa konie obok siebie. Wiedziałem, że w tym miejscu się rozstaniemy. Dzień powoli się kończył.

– Staniesz z nią twarzą w twarz?

– Nie. Prawdopodobnie nawet nie będę z nią rozmawiać.

– To dobrze. Lepiej, żebyś tego nie robił. A jeśli już do tego dojdzie, uważaj na to, jak wymawiasz „r” i „l”. Inaczej zdradzisz swoje pochodzenie.

– Już na to wpadłem – powiedziałem, by dać mu do zrozumienia, że pomyślałem o wszystkim. Jednak tak naprawdę ten szczegół mi umknął.

– Jeśli będziesz chciał wysłać mi jakąś wiadomość, napisz ją w starym języku, na wypadek gdyby została przechwycona.

– Nie będę wysyłać żadnych wiadomości.

– Niezależnie od tego, co będziesz robić, nie mów jej, kim jesteś. Głowa państwa Dalbreck, osobiście interweniująca na terenach Morrighan – to może zostać potraktowane jako wypowiedzenie wojny.

– Sven, mylisz mnie z moim ojcem. Nie jestem głową państwa.

– Jesteś następcą tronu i reprezentantem ojca. Żebyś tylko nie pogorszył sytuacji Dalbreck i swoich kompanów.

Zamilkliśmy.

Po co w ogóle tam jechałem? Jaki to miało cel, skoro mogło się okazać, że nie uda mi się sprowadzić jej z powrotem, a być może w ogóle z nią nie porozmawiam? Wiedziałem, że takie właśnie myśli kłębiły się w głowie Svena, ale nie było tak, jak sądził. Nie byłem zły, bo jako pierwsza wpadła na pomysł ucieczki. Mnie przyszło to do głowy już dawno temu, gdy mój ojciec wysunął propozycję małżeństwa, jednocześnie przekonał mnie jednak, że ten sojusz jest bardzo korzystny dla Dalbreck i jeśli po ślubie postanowię wziąć sobie kochankę, to dwór będzie udawać, że tego nie widzi. Byłem zły, bo wykazała się

odwagą, którą ja nie potrafiłem się wykazać. Kim była ta dziewczyna, która zagrała na nosie dwóm królestwom i robiła to, co chciała? Pragnąłem się tego dowiedzieć.

Gdy zbliżaliśmy się do jaru, Sven przerwał milczenie.

– Chodzi o ten liścik, prawda?

Na miesiąc przed ślubem Sven doręczył mi liścik od księżniczki. Potajemny liścik. Gdy mi go wręczał, pieczęć nadal znajdowała się na swoim miejscu. Nigdy nie poznał jego treści. Ja ją przeczytałem i zignorowałem, i to prawdopodobnie był mój błąd.

– Nie, nie jadę ze względu na liścik. – Pociągnąłem krótko za lejce i zatrzymałem konia, a następnie odwróciłem się do Svena. – Przecież wiesz, że nie chodzi o księżniczkę Arabelłę.

Pokiwał głową. Nadchodził długi okres w moim życiu. Nauczyciel poklepał mnie po ramieniu, a następnie bez słowa zawrócił konia i odjechał w stronę Dalbreck. Ruszyłem jarem, jednak po kilku kilometrach wyjąłem liścik z wewnętrznej kieszeni kamizelki. Spojrzałem na pośpiesznie nabazgrane litery. Nie był to charakter pisma księżniczki.

*W dzień naszego ślubu
chciałabym cię najpierw ocenić.*

Wsunąłem liścik z powrotem do kieszeni. Niech się stanie wedle jej życzenia.



*stnieje jedna prawdziwa historia
I jedna prawdziwa przyszłość.*

Śłuchajcie uważnie,

Albowiem dziecko, które wyrosło z cierpienia,

Będzie tym, które przyniesie nadzieję.

Od najsłabszych przybędzie siła.

Od prześladowanych przybędzie wolność.

– Pieśń Vendy



Rozdział 4



ZABÓJCA

Chętnie sam bym to załatwił, ale muszę wracać do obowiązków w Vendzie. Uwiniesz się w jeden dzień. Ostatecznie ona jest tylko członkiem rodziny królewskiej. Wiesz, jacy oni są. I do tego ma zaledwie siedemnaście lat. Znalezienie jej będzie bardzo proste!

Uśmiechnąłem się na wyobrażenie Komizara o rodzinach królewskich, ale nie musiałem mu odpowiadać. Obaj wiedzieliśmy, że to bardzo łatwe zadanie. Spanikowana zwierzyna nie zastanawia się nad zacieraniem śladów. Komizar wielokrotnie wykonywał takie zadania. To on mnie wytrenował.

Skoro ma być tak łatwo, to dlaczego ja nie mogę pojechać? Eben był niezadowolony.

To nie jest zadanie dla ciebie, powiedziałem mu. A on bardzo chciał udowodnić swe umiejętności. Świetnie znał ich język i sposoby walki, a ponieważ był mały i ledwo co skończył dwanaście lat, mógł uchodzić za dziecko, zwłasz-

cza z tymi smutnymi piwnymi oczami i twarzą cherubina, dzięki której rozwiewał wszelkie podejrzenia. Istniała jednak różnica między zabijaniem podczas bitwy a poderżnięciem gardła śpiącej dziewczynie. Nie był na to gotowy. Na widok zaskoczenia w jej oczach mógłby się zawahać. To najtrudniejszy moment, wtedy nie ma czasu do namysłu. Nie będzie drugiej szansy. Komizar wyraził się jasno.

Sojusz między Morrighan a Dalbreck może zniweczyć wszystkie nasze wysiłki. A najgorsze, że ta dziewczyna jest podobno Siarrah. My może i nie wierzymy w takie bzdury, ale inni wierzą, co może dodać im odwagi lub sprawić, że próbują przestraszyć naszych ludzi. Nie możemy ryzykować. Jej ucieczka oznacza dla nich pecha, a dla nas uśmiech losu. Masz się zakraść i uciec – to twoja specjalność. A jeśli uda ci się zrobić to tak, by wina spadła na Dalbreck, tym lepiej. Wiem, że wypełniasz ten obowiązek, zawsze tak robisz.

Tak, zawsze wypełniałem moje obowiązki. W oddali droga się rozwidlała, Eben zrozumiał, że to jego ostatnia szansa na podjęcie walki.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego to ja nie mogę jechać. Przecież znam ich język tak dobrze jak ty.

– A znasz wszystkie dialekty Morrighan? – spytałem.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Griz wyciągnął rękę i trzepnął go w bok głowy. Eben zaskowytał, co wywołało głośny rechot pozostałych mężczyzn.

– Komizar chce, żeby to on się tym zajął, nie ty! – krzyknął. – Przestań się mazać!

Przez resztę drogi Eben siedział cicho.

Dotarliśmy do miejsca, w którym nasze drogi się rozchodziły. Griz i jego banda trzech byli obdarzeni wyjątkowymi umiejętnościami. Będą jeździć po najdalej wysuniętej na północ części Morrighan, gdzie król głupio zgromadził niemal wszystkie swoje siły. Banda Griza stworzyła własne sposoby na sianie zamętu i chaosu. Ich działania nie były tak krwawe jak moje, ale równie skuteczne. Ich praca trwała znacznie dłużej, co oznaczało, że będę mieć „odpoczynek”, jak to określił Griz. Po wykonaniu zadania poczekam na nich w pewnym obozie w Cam Lanteux, a potem razem wrócimy do Vendy. Obaj doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że odpoczynek w Cam Lanteux był niemożliwy.

Patrzyłem, jak ruszyli swoją drogą, Eben siedział nadąsany w siodle.

To nie zadanie dla ciebie.

Czy gdy byłem w wieku Ebena, też z całych sił pragnąłem zadowolić Komizara?

Tak.

Od tego czasu minęło zaledwie kilka lat, miałem jednak wrażenie, że to było wieki temu.

Komizar był starszy ode mnie zaledwie o jakieś dziesięć lat, gdy został władcą Vendy, sam ledwo stał się dorosłym mężczyzną.

To właśnie wtedy wziął mnie pod swoje skrzydła. Ocalił mnie przed śmiercią głodową. Ochronił przed wieloma rzeczami, o których starałem się zapomnieć.

Dał mi to, czego nie otrzymałem od moich pobratymców. Szansę. Nigdy nie przestawałem mu się za to odwdzięczać. Niektórych długów nie da się spłacić.

Jednak po raz pierwszy miałem przed sobą takie zadanie. Nie żebym wcześniej nie podrzynał gardeł pod osłoną nocy, jednak gardła te zawsze należały do wojskowych, zdrajców czy szpiegów i wiedziałem, że ich śmierć oznaczała życie dla moich kompanów. Nawet wtedy, za każdym razem, gdy moje ostrze rozcinało skórę, oczy patrzące na mnie z przerażeniem i zaskoczeniem kradły część mojej duszy.

Sam walnąłbym Ebena, gdyby po raz kolejny rozpoczął ten temat. Był za młody, by zacząć tracić samego siebie.

Zakraść się i uciec. A potem udać się na zasłużony odpoczynek.



*U*ważali się za gorszych
jedynie od bogów,

byli dumni ze swej władzy nad niebem i ziemią.

Mieli coraz większą wiedzę,

ale coraz mniejszą mądrość,

łaknęli coraz więcej władzy,

ciemieżyli bezbronnych.

– Księga Świętych Tekstów Morrighan, tom IV



Rozdział 5

Terravin znajdował się tuż za kolejnym zakrętem – tak przynajmniej powiedziała Pauline. Kilkanaście razy. Gdy rozpoznawała punkty orientacyjne, udzieliły mi się jej ekscytacja i wyczekiwanie. Minęliśmy rozłożyste drzewo, na którego pniu zakochani wydrapywali swoje imiona, potem ustawione w półkolu niskie marmurowe ruiny, przypominające wybrakowane uzębienie starca, aż wreszcie, w oddali, dostrzegłyśmy na wzgórzu połyskującą niebieską tafłę wody, otoczoną jałowcami. To oznaczało, że jesteście już blisko.

Dotarcie do tego miejsca zajęło nam dziesięć dni, ale z pewnością przyjechałybyśmy wcześniej, gdybyśmy nie straciły dwóch dni na zostawianie fałszywych śladów, na wypadek gdyby ścigali nas ludzie ojca.

Pauline była przerażona, gdy zdjęłam drogocenną suknię ślubną i wrzuciłam ją w gęstwinę jeżyn, ale potem była pozytywnie zaskoczona, kiedy użyłam

sztyletu do odprucia klejnotów ze ślubnej peleryny, a resztki materiału przywiązałam do polana i wrzuciłam do rzeki. Wykonała w moim imieniu trzy znaki pokuty. Jeśli peleryna zostanie odnaleziona, miałam nadzieję, że wszyscy pomyślą, iż utonąłam. Za to, że chciałam, by moi rodzice otrzymali takie straszliwe wieści, sama powinnam odpokutować, po chwili jednak przypominałam sobie, że oni nie tylko byli gotowi na wysłanie swej córki w nieznane, by poślubiła człowieka, którego nie kochała, lecz także na oddanie jej królestwu, któremu nie ufali. Przełknęłam gulę, która narastała w moim gardle, i nie odezwałam się ani słowem, patrząc, jak peleryna, którą nosiły moja matka, babka i ich matki, odpływa w nieznanym kierunku.

W Luiseveque, dużym mieście, oddalonym około dwie godziny drogi od naszej trasy, wymieniliśmy klejnoty na monety – i dorzuciliśmy kupcowi trzy niebieskie szafiry, by zapomniał, skąd pochodziły wszystkie kosztowności. Ten rodzaj handlu sprawiał nam dziką przyjemność i napawał nas ekscytacją. Gdy tylko wyjechałyśmy z powrotem na drogę, zaczęłyśmy się śmiać z naszej zuchwałości. Kupiec patrzył na nas jak na złodziejki, ponieważ jednak transakcja była na jego korzyść, nie odezwał się ani słowem.

Od tego miejsca musiałyśmy cofnąć się kilka kilometrów, a potem pojechałyśmy dalej na Wschód. Na obrzeżach niewielkiej wsi zatrzymałyśmy się na pewnej farmie i sprzedałyśmy zaskoczonemu farmerowi nasze Raviany

za trzy osły. Dałyśmy mu również kilka monet, żeby zachował naszą wizytę dla siebie.

Dwie dziewczyny, które wjechały do Terravinu na wspaniałych rumakach, charakterystycznych dla stajni Morrighan, z pewnością przykułyby uwagę wszystkich, a przecież nie mogłyśmy sobie na to pozwolić. Nie potrzebowałyśmy trzech osłów, ale farmer upierał się, że bez pierwszych dwóch trzeci będzie zagubiony. Okazało się, że to prawda – szedł tuż za nimi, w ogóle nie musiałyśmy go ciągnąć. Farmer nazwał je Otto, Nove i Dieci. Ja jechałam na Ottonie, największym z całej trójki, potężnym brązowym zwierzęciu o białym pysku i długich włosach między uszami. Po przejechaniu setek kilometrów byłyśmy już tak brudne, a nasze buty z miękkiej skóry były tak ubłocone, że niemal nikt nie zwracał na nas uwagi. Nikt nie chciał patrzeć na nas dłużej niż to konieczne – i właśnie tego chciałam. Nie mogłam dopuścić do tego, by ktokolwiek zniszczył nasze marzenia o Terravinie.

Wiedziałam, że jesteśmy już blisko. Coś wisiało w powietrzu, jakieś światło, coś, czego nie potrafiłam określić, ale przepływało przeze mnie niczym ciepły głos. Do domu. Do domu. Wiedziałam, że to głupota. Terravin nigdy nie był moim domem, ale może mógłby nim zostać.

Na tym ostatnim odcinku drogi nagle mój żołądek skurczył się ze strachu na myśl o tym, że usłyszę tętent obcych kopyt. To, co ludzie ojca zrobią ze mną, to jedno.

Najbardziej bałam się jednak tego, co mogą zrobić z Pauline. Zaplanowałam, że jeśli zostaniemy złapane, powiem im, że zmusiłam Pauline do pomocy wbrew jej woli. Musiałam jeszcze przekonać ją do tej wersji, co z pewnością będzie trudne, bo ona zawsze mówiła prawdę.

– Tam! Patrz! Między drzewami! – krzyknęła przyjaciółka, wskazując coś w oddali. – Błękitny pas! To Zatoka Terravin!

Wyciągnęłam szyję, jednak nie mogłam dostrzec nic poza grubymi pniami drzew, odrapanych dębów i trawiastych wzgórz między nimi. Popędziłam Ottona, tak jakby zwierzę, które poruszało się z jednostajną prędkością, w ogóle mogło przyśpieszyć. Gdy jednak wyjechaliśmy z zakrętu, naszym oczom ukazała się nie tylko zatoka, lecz także cała wioska Terravin.

Była tak piękna, jak opisywała ją Pauline.

Ponownie poczułam ucisk w żołądku.

Po turkusowym półkolu pływały czerwone i żółte łódki, niektóre z białymi żaglami, inne z wielkimi, burzącymi wodę kołami łopatkowymi z tyłu. Jeszcze inne rozpryskiwały wodę w rytm uderzeń wiosel. Z miejsca, w którym stałyśmy, zdawały się tak małe, że równie dobrze mogłyby być dziecięcymi zabawkami. Wiedziałam jednak, że na ich pokładach znajdowali się ludzie, słyszałam nawoływania rybaków, cieszących się z połowów, wiatr niósł ich głosy, dzielił się z nami ich radością i zwycięstwem, powtarzał ich historie. Na brzegu, do którego płynęło wielu z nich, znajdowała się długa przystań z jeszcze większą liczbą łodzi

i ludźmi, przypominającymi mrówki, bez reszty zajęte swoją pracą. A potem, co było chyba najpiękniejsze, zobaczyłam domy i sklepy, wzniesione na zboczu wzgórze, każdy z nich w innym kolorze – jasnoniebieskim, wiśniowym, pomarańczowym, fioletowym, cytrynowym. Zatoka Terravin przypominała wielką misę z barwnymi owocami, otoczoną ciemnozielonymi palcami lasu, które trzymały tę wielokolorową obfitość.

Zrozumiałam już, dlaczego Pauline zawsze chciała wrócić do rodzinnej wsi, z której wyrwano ją po śmierci matki. Posłano ją do ciotki, mieszkającej daleko na północy kraju, a potem, gdy ciotka zachorowała, przekazano ją do kolejnej ciotki, której nawet nie знаła. Owa ciotka była opiekunką mej matki. Życie Pauline składało się z ciągłych wędrówek, teraz jednak udało się jej wrócić do swego domu, do korzeni. Wystarczył jeden rzut oka i wiedziałam, że to miejsce może stać się również moim domem, w którym nieważne będzie to, kim jestem. Nagle mój entuzjazm opadł. *Jakże chciałabym, żeby zobaczył to mój brat, Bryn!* On tak bardzo kochał morze.

Moje rozmyślenia przerwał głos Pauline:

– Czy coś się stało? Nie odezwałaś się ani słowem. Co o tym sądzisz?

Spojrzałam na nią i poczułam, że w oczach zbierają mi się łzy.

– Myślę... że jeśli się pośpieszymy, to jeszcze przed kolacją uda nam się wykapać. – Klepnęłam Ottona w zad. – Pierwsza!

Pauline nie dała się tak łatwo prześcignąć – wrzasnęła dziko i walnęła swojego osła po żebrach, by ruszył za mną.

Nasza nieroztropność została powstrzymana na głównej drodze, wijącej się przez miasto. Wetknęliśmy włosy pod kaptury, a same kaptury zaciągnęliśmy na oczy. Terravin był niewielkim, położonym na uboczu miasteczkiem, ale przecież mogła się tu zatrzymać Królewska Straż lub tropiciele od ojca. Jednak nawet z brodą przyciśniętą do klatki piersiowej chłonęłam otaczający mnie świat. Takie wspaniałości! Takie dźwięki! Takie zapachy! Nawet stukot kopyt naszych osłów na wyłożonych czerwoną kostką ulicach brzmiał jak muzyka. Miejsce to różniło się od Civica pod każdym względem.

Minęliśmy plac, na który cień rzucało wielki figowiec. Pod jego rozłożystą koroną dzieci skakały na skakance, a muzycy grali na flecie i bandoneonie, wydobywając radosne dźwięki, cieszące uszy mieszkańców miasta, którzy rozmawiali przy niewielkich stolikach, ustawionych wzdłuż brzegu.

Jeszcze dalej kupcy polewali sąsiednie drogi wodą. Przed jednym ze stoisk na wietrze powiewała tęcza szali i apaszek, a przed innym wystawiono kolorowe rzędy świeżych błyszczących bakłażanów, kabaczków, kopru włoskiego i wielkich różowych rzep. Nawet sklep z siodłami został pomalowany na radosny turkusowy odcień. Nigdzie nie widziałam stonowanych kolorów Civica. Tutaj wszystko było pełne barw.

Nikt nie zwracał na nas uwagi. Wmieszałyśmy się w tłum. Byłyśmy dwiema zwykłymi pracownicami, wracającymi do domu po długim dniu, albo po prostu zmęczonymi nieznajomymi, szukającymi przyjaznego miejsca na nocleg. W spodniach i kapturach prawdopodobnie wyglądałyśmy jak wychudzeni mężczyźni. Na widok miasteczka, które Pauline tyle razy mi opisywała, próbowałam powstrzymać uśmiech. Dojrawszy jadącą w naszym kierunku Królewską Straż, zamarłam. Pauline również ich dostrzegła i pociągnęła za lejce, jednak szybko szepnęłam do niej:

– Jedź dalej. Spuść głowę.

Cały czas jechałyśmy przed siebie, tak przerażone, że nie odważyłyśmy się oddychać. Wojownicy rozmawiali ze sobą i co jakiś czas wybuchali śmiechem, ich konie jechały spokojnie. Za nimi na wozie siedział trzeci wojownik.

Nawet nie spojrzeli w naszą stronę. Gdy nas minęli, Pauline odetchnęła z ulgą.

– Zapomniałam. Suszona i wędzona ryba. Raz w miesiącu przyjeżdżają tu ze wschodniej twierdzy po zapasy, głównie rybę.

– Raz w miesiącu? – szepnęłam.

– Chyba tak.

– W takim razie przyjechałyśmy tu w odpowiedniej chwili. Przez jakiś czas nie będziemy musiały się nimi martwić. Poza tym i tak mnie nie poznają.

Przyjrzała mi się, a potem zmarszczyła nos.

– Nikt by cię nie poznał, może poza świniami w domu.

Jakby na zawołanie Otto zaryczał. Roześmiałyśmy się i zaczęłyśmy się ścigać, która pierwsza weźmie ciepłą kąpiel.

Gdy Pauline zapukała do niewielkich drzwi z tyłu zajazdu, wstrzymałam oddech. Drzwi natychmiast się otworzyły, ale kobieta, która się w nich ukazała, tylko machnęła do nas ręką i krzyknęła:

– Połóżcie to tam! Na bloku rzeźniczym!

I już wracała do wielkiego kamiennego paleniska, by na wielkiej drewnianej łopacie wyjąć chleb z pieca. Pauline i ja nie ruszyłyśmy się z miejsca, co wreszcie zwróciło uwagę kobiety.

– Mówiłam, żebyście...

Odwróciła się do nas i zmarszczyła brwi.

– Hmm. Nie przywieźliście mojej ryby, prawda? Czyli pewnie jesteście żebraczkami. – Wskazała stojący przy drzwiach kosz. – Weźcie sobie po jabłku i ciastku i idźcie stąd. Jeśli wrócicie pod koniec dnia, będę miała dla was trochę gorącej stawy.

Krzyknęła coś do kogoś, kto odkrzyknął do niej z przedniej części zajazdu. Przez drzwi wahadłowe wpadł wysoki chudy chłopak, niosący jutową szmatkę, spod której wystawał machający rybi ogon.

– Ty cymbale! Gdzie mój dorsz? Przecież na tym nie ugotuję zupy! – Wzięła od chłopaka niewielką rybę, rzucała na blok rzeźniczy i jednym zdecydowanym ruchem

odrabiała jej głowę. Chyba stwierdziła, że ta ryba jednak będzie musiała wystarczyć.

A więc to była Berdi. Amita Pauline. Jej ciotka. Nie krewna, ale kobieta, u której pracowała matka Pauline i która zapewniła jej dach nad głową po przedwczesnej śmierci męża, gdy kobieta została sama z niemowlęciem.

Berdi błyskawicznie wypatroszyła i wyfiletowała rybę, po czym wrzuciła ją do kotła z gotującą się strawą. Wytarła dłonie w fartuch, odwróciła się, spojrzała na nas i uniosła brew. Odgarnęła z czoła pasemko siwawych włosów.

– Jeszcze tu jesteście? Przecież kazałam wam...

Pauline zrobiła dwa kroki do przodu i zdjęła kaptur. Długie, kręcone włosy koloru miodu rozsypały się jej na plecach.

– Amita?

Na twarzy starszej kobiety pojawiło się oszołomienie. Podeszła bliżej i zmrużyła oczy.

– Pollypie?

Pauline pokiwała głową.

Berdi rozpostarła ramiona i przycisnęła moją przyjaciółkę do piersi. Po wielu uściskach i niedopowiedzianych zdaniach Pauline wreszcie oderwała się od ciotki i odwróciła w moją stronę.

– A to Lia, moja przyjaciółka. Obawiam się, że wpadłyśmy w tarapaty.

Berdi przewróciła oczami i uśmiechnęła się szeroko.

– Ciepła kąpiel i dobry gorący posiłek rozwiążą każdy problem.

Podbiegła do wahadłowych drzwi, otworzyła je i wrzasnęła:

– Gwyneth! Wychodzę na pięć minut! Enzo ci pomoże!

Odwróciła się w naszą stronę. Przyjrzałam się jej uważnie i zauważyłam, że jak na kobietę w jej wieku, noszącą przed sobą wielki brzuch – zapewne od smakowania gotowanych potraw – jest bardzo zwinna. Z przodu zajazdu dobiegły nas cichy jęk i trzask naczyń. Berdi zignorowała to i wyprowadziła nas przez tylne drzwi.

– Cymbał – czyli Enzo – ma potencjał, ale jest leniwy jak diabli. Ma to po swoim niezaradnym ojcu. Ja i Gwyneth cały czas nad tym pracujemy. Jeszcze będą z niego ludzie. A o dobrą pomoc bardzo trudno.

Poszliśmy za nią po kamiennych schodach na wzgórze za zajazdem, a potem w dół, zasypaną liśćmi ścieżką, w stronę ciemnego domku, stojącego w pewnej odległości od pozostałych budynków. Tuż za nim rozpościerał się las. Berdi wskazała wielki żelazny zbiornik, stojący na wysokim ceglany palenisku.

– Potrafi jednak utrzymać ogień, więc goście mogą wziąć gorącą kąpiel, a to jest coś, czego obie potrzebujecie w pierwszej kolejności.

Gdy podeszliśmy bliżej, usłyszałam cichy szum strumienia gdzieś w lesie za wioską i przypomniałam sobie potok, o którym opowiadała Pauline, jego brzegi, na których dokazywała z matką i kamienie, po których skakała.

Berdi zaprowadziła nas do domku, przeprosiła za bałagan, uprzedziła, że dach przecieka i że domek jest wykorzystywany tylko w razie nadkompletu gości. Ponieważ teraz zajazd był przepelniony, jedyną alternatywę stanowiła oboara. Zapaliła lampion i wyciągnęła z rogu na środek pokoju wielką miedzianą misę. Przystanąła, by rąbkami fartucha wytrzeć pot z czoła. Po raz pierwszy, odkąd ją zobaczyłam, okazała zmęczenie.

– No dobrze, w jakie tarapaty mogły wpaść takie dwie młode dziewczyny? – Rzuciła okiem na nasze brzuchy i dodała: – Chodzi o chłopców, tak?

Pauline oblała się rumieńcem.

– Nie, Amita, nic z tych rzeczy. To w sumie nawet nie są tarapaty. Przynajmniej nie muszą nimi być.

– Tak naprawdę to tylko ja mam problemy – odezwałam się po raz pierwszy, występując przed przyjaciółką. – Pauline tylko mi pomaga.

– Ach. Czyli jednak potrafisz mówić.

– Może powinna pani usiąść, żebyśmy mogła...

– Po prostu wyduś to z siebie, Lio. Masz na imię Lia, prawda? Nie ma nic, czego wcześniej bym nie słyszała.

Stała obok misy, trzymając w rękach wiadro, i czekała na wyjaśnienia. Postanowiłam spełnić jej życzenie.

– Tak. Lia. A dokładniej księżniczka Arabella Celestine Idris Jezelia, Pierwsza Córka Domu Morrighan.

– Jej Królewska Mość – dodała łagodnie Pauline.

– *Była* Królewska Mość – poprawiłam.

Berdi przechyliła głowę, tak jakby niedosłyszała, a potem pobladła. Pomacała ręką za sobą w poszukiwaniu filaru łóżka i opadła na materac.

– O co w tym wszystkim chodzi?

Pauline i ja zaczęłyśmy jej na zmianę wszystko wyjaśniać. Nie odezwała się ani słowem, co, jak podejrzewałam, było do niej dość niepodobne. Wiedziałam, że Pauline czuje się coraz mniej pewnie.

Gdy powiedziałyśmy już wszystko, podeszłam bliżej.

– Jesteśmy pewne, że nikt za nami nie jechał. Znam się na gubieniu śladów. Mój brat jest tropicielem w Królewskiej Straży. Jeśli jednak moja obecność jest dla pani kłopotliwa, wyjadę stąd.

Przez chwilę Berdi siedziała bez słowa, tak jakby prawda dopiero zaczęła do niej docierać, a potem uniosła z zaciekawieniem jedną brew. Później wstała.

– Do licha ciężkiego, tak, twoja obecność jest dla mnie kłopotliwa! Czy jednak mówiłam coś o tym, że masz stąd wyjeżdżać? Zostajesz tutaj. Obie zostajecie. Ale nie mogę zapewnić wam...

Przerwałam, czytając w jej myślach:

– Nie oczekuję ani nie chcę poświęcania mi szczególnej uwagi. Przyjechałam tu, ponieważ pragnęłam prawdziwego życia. I wiem, że w związku z tym muszę na siebie zarabiać. Niezależnie od tego, jaką pracę mi pani znajdzie, chętnie się jej podejmę.

Pokiwała głową.

– Później o tym pomyślimy. Na razie musicie się wykąpać i najeść. – Zmarszczyła nos. – Koniecznie w tej kolejności.

– Jeszcze jedno. – Odpięłam koszulę, odwróciłam się i zsunęłam materiał do pasa. Gdy zobaczyła mój ślubny kavah, westchnęła głęboko. – Jak najszybciej muszę się tego pozbyć.

Usłyszałam, jak do mnie podchodzi, a potem poczułam dotyk jej palców na moich plecach.

– Większość kavah jest widoczna przez zaledwie kilka tygodni, jednak ten może być bardziej trwały – orzekła.

– Wykonywali go najzdolniejsi rękodzielnicy, którzy wykorzystali najlepsze barwniki.

– Na pewno pomoże codzienne moczenie się w wannie – odparła. – Przyniosę ci szczotkę do mycia pleców i dobre mydło.

Założyłam koszulę i podziękowałam kobiecie. Pauline uściśnęła ją, a potem, po wyjściu Berdi, podniosła wiadro z podłogi.

– Wasza Wysokość, ty pierwsza.

– Przestań! – Wyrwałam jej wiadro. – Od dziś nie ma żadnej Waszej Wysokości. Ta część mojego życia zakończyła się raz na zawsze. Teraz jestem tylko Lia. Rozumiesz, Pauline?

Spojrzała mi w oczy i to wystarczyło. Dotarło do nas, że oto nastąpił prawdziwy początek, tak jak planowałyśmy. Tak bardzo tego pragnęłyśmy, nie wiedziały-

śmy jednak, czy kiedykolwiek do tego dojdzie. Ale doszło. Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– I kąpiesz się pierwsza – dodałam.

Zaczęła nas rozpakowywać, a ja poszłam po gorącą wodę. Umyłam plecy przyjaciółki, tak jak ona myła mnie wiele razy wcześniej, potem jednak, gdy leżała w wannie i ze zmęczenia zaczęły jej się zamykać oczy, postanowiłam, że pójdę się wykąpać do strumienia, tak by mogła rozkoszować się tą chwilą jak najdłużej. Nigdy nie będę mogła spłacić długu, jaki wobec niej miałam. Chciałam jej dać chociaż tyle.

Najpierw zaczęła słabo protestować, potem jednak powiedziała mi, jak dotrzeć do strumienia, i ostrzegła, żeby nie wchodziła na głęboką wodę. Powiedziała, że wśród gęstych zarośli znajduje się niewielki, bezpieczny staw. Dwa razy obiecałam, że będę na siebie uważać, chociaż po chwili przyznała, że jeszcze nigdy nikogo tam nie widziała. A o tej porze, gdy wszyscy jedli kolację, z pewnością będę tam sama.

Znalazłam strumień, szybko się rozebrałam i zostawiłam brudne ubrania i odzież na zmianę na porośniętym trawą brzegu. Weszłam do wody i zdrząłam z zimna, jednak nawet w połowie nie była ona tak zimna jak strumienie w Civica. Moje ramiona zaczęły się rozgrzewać, gdy ponownie wyszłam na brzeg. Nabrałam powietrza, nowego powietrza, takiego, jakim jeszcze nie oddychałam.

Teraz jestem tylko Lia. Od dzisiaj aż do końca.

Czułam się jak podczas chrztu. Jakbym została dogłębnie oczyszczona. Woda spływała po moich policzkach i kapiała z brody. Terravinie był nie tylko nowym domem. Dalbreck też mógł się nim stać, ale tam byłabym jedynie ciekawostką w obcym kraju, bez żadnego prawa głosu w kwestii mojej przyszłości. W Terravin miałam nowe życie. Było to zarówno ekscytujące, jak i przerażające. A co, jeśli już nigdy nie zobaczę moich braci? A jeśli w tym życiu również sobie nie poradzę? Ale jak dotąd wszystko działało na mnie zachęcająco, nawet Berdi. Może jakimś cudem uda mi się w tym nowym życiu?

Strumień był szerszy, niż się spodziewałam, ale została na płycznach, tak jak obiecałam Pauline. Woda była czysta, w stawie sięgała mi do ramion. Na dnie czułam prąd strumienia. Położyłam się na plecach, wpatrując się w poprzetykany złotymi nićmi baldachim z dębów i sosen. Zapadał zmierzch, cienie zaczęły się pogłębiać. Pomiędzy pniami migotały złote światła, palone przez mieszkańców Terravinu, przygotowujących się na wieczór. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że wsłuchując się w otoczenie, czekając na pieśni, które wieczorami rozbrzmiewały w Morrighan, tutaj jednak od czasu do czasu słyszałam tylko pojedyncze melodie.

Znajdę cię...

W najodleglejszym zakątku...

Przerwałam mycie i przechyliłam głowę, żeby lepiej słyszeć. Głos, który śpiewał te słowa, był zupełnie inny, ostrzejszy niż głosy, którymi w domu śpiewano święte

wspomnienia. Wersów też nie znałam, ale Święty Tekst był bardzo długi.

Melodie zniknęły, zabrane przez chłodny wiatr. Teraz słyszałam tylko szuranie szczotki do pleców, którą dała mi Berdi. Czułam pieczenie na lewym ramieniu, w miejscu, w którym mydliny pokrywały mój ślubny kavah, tak jakby toczyła się na nim bitwa. Przy każdym ruchu szczotką wyobrażałam sobie, jak lew z Dalbreck kurczy się z przerażenia, aż wkrótce na zawsze zniknie z mojego życia.

Szybko spłukałam mydliny, próbując dostrzec śmierć lwa, ale w ciemnym świetle nadal widziałam kavah – na moim ramieniu winorośl cały czas wiła się wokół lwiej łapy – wciąż tak samo piękny jak wcześniej. Dziesięć dni temu chwaliłam pracę rękodzielników. Teraz miałam ochotę ich przekląć.

Trzask!

Zanurzyłam się w wodzie i gwałtownie się odwróciłam, gotowa na stawienie czoła intruzowi.

– Kto tam jest? – krzyknęłam, próbując zasłonić swoją nagość.

Odpowiedziała mi tylko cisza pustego lasu. Może to łania? Ale gdzie by tak szybko uciekła? Przeszukałam wzrokiem cienie drzew, jednak nie zauważyłam żadnego ruchu.

– To był tylko trzask jakiejś gałęzi – zaczęłam przekonywać sama siebie. – Pewnie przebiegło po niej jakieś małe zwierzę.

A może któryś z gości zajazdu urządził sobie spacer i szybko odszedł, zaskoczony moją obecnością? Uśmiechnęłam się na myśl, że mogłam kogoś przestraszyć – miałam tylko nadzieję, że nie zdążył zobaczyć moich pleców. Kavah były symbolem statusu i bogactwa, a mój, jeśli mu się dobrze przyjrzeć, wyraźnie świadczył o królewskim pochodzeniu.

Wyszłam z wody, szybko założyłam świeże ubrania, a potem dostrzegłam małego szarego królika, który schował się za drzewem. Odetchnęłam z ulgą.

To tylko małe zwierzę. Tak jak myślałam.